

II 2.347.783

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

TKANKA ZIEMI

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1960

Wam Kazimierzowi Vincenzowi
z przedzwan urzędniczym
i zawsze żyją państwu o bez-zęzkroń
Kazimierzowi Vincenzowi

Wam 31. X. 60.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

TKANKA ZIEMI

IMPRIMERIE EN FRANCE

WYDAWCA: Książnica "Liberia"
17, rue St. Louis-en-l'Île, Paris, 4

1949

BIBLIOTEKA " KULTURY "
Tom LVII

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”
12, rue St. Louis-en-l'Île, Paris, 4^e

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

PIĄTA PORA ROKU

TKANKA ZIEMI

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1960

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001012997440



Czyt. Naukowa

Nr _____

Nr inw. C. N. _____



II 2.347.783

IMPRIMERIE EN FRANCE

LITERACKI



INSTITUT

1960



PARYŻ

2010d 695/18

PIĄTA PORA ROKU

Ptak przeleciał przeze mnie, ptak,
I drzwi zostawił otwarte,
I tego wieczoru o zmroku
Zeszły się we mnie pory roku
Żywe i martwe.

Jedna była młodzięcza, wesola,
Jeszcze śni mi się, jeszcze mnie woła
(Ach, pusty śmiech, niedorzeczność!),
Druga była żarliwa, gorąca,
Czerwoną wargą jeszcze mnie trąca,
Trzecia — jesienna, czwarta — zimowa,
A piąta — śmierć i wieczność.

Zeszły się i mruchały coś w ucho wieczory
(Bachanalie, gorzkie żale, nieszpory?),
Nie wiedziałem co znaczy niejasny ten śpiew,
Płynął czas i odmiany i ja z nimi razem,
Zachodziły mnie zewsząd swym krajobrazem
Aż weszły mi w krew.

Obszyłem się liśćmi, porośłem górami,
Palily się we mnie ogniska pastuchów:
Pod drzewem, w deszczu, przykryci workami,
Podobni byli do duchów.

Spałem na siennych, wygrzanych polanach,
Gałęzią chojar kołysał mnie niski,

Budziły mnie sarny, kobiece w kolanach,
Skacząc jak wodotryski.

Z Węgier kotliną opasłe woły
Porykując szły za ratajem żydowskim,
Poganiacze w południe rozkładali toboły,
Pili coś, gryźli. Pachniało czosnkiem.

W sadach czerwiennych, w kotłach miedzianych
Warzyli chłopci czarne powidła,
Krzyczałem w tłumie jak ja zakochanych:
„Młodości, podaj mi skrzydła!”.

A w zimie sosny leśnym wyciosem
Spuszczano z hukiem po śnieżnym korycie,
Siekiery stękały topornym odgłosem
Na gołej czaszce, na szczycie.

Kiedy zelżało, karpacki parobek
Spychał je w rzekę i skuwał na tratwy:
Płynęły sosny po chleb, na zarobek,
Nie łatwy, bracie, nie łatwy.

I znów szły wiosny i lata powoli,
Wiatr jabłka strącał jesienne i śliwy
I pędził chmury w doli, niedoli
Szczęśliwej i nieszczęśliwej.

Szedł ruch za ruchem, ruchome odmiany
Ludzi i roślin i skóry zwierzęcej,
Doczesne pory i czas powikłany,
Wszystko co żyło i jeszcze coś więcej.

Bo przyszli potem z daleka umarli,
Łokciem o lasy jodłowe się wsparli,
Patrzyli wokół — a ziemia szeroka
Drobną im rzęsą zawisała u oka,
Wiatr stanął w miejscu, stanęły drogi
W białym spokoju, i legły u nogi
Jaskółcze wiosny, bukowe lata
I jesień sowa i zima brodata.

I rzekł mój ojciec do matki mojej,
Dym odpędzając pod koniec wojny:
„Nie bój się, wszystko się tak uspokoi
W śmierci wieczyście spokojnej”.

I wzięli mnie. Wiedli w głąb, w tajemniczy
Obszar, gdzie nic się z tej ziemi nie liczy,
Gdzie wiośnie, latu, jesieni i zimie
W innym języku nadano imię.
Gdzie niezliczone, zawile odmiany,
W jeden zrównały się czas odwikłany,
Który też ustał, — tyle że sprząta
Opustoszałe po zgiełku mrowisko, —
I dokonało wtedy się wszystko:
Ostatnia pora otwarła się. Piąta.

Teraz tu słyszę, czego nikt nie słyszy,
I widzę rzeczy na skroś i spod spodu
I pełny jestem śmierci jak ciszy
I pełny wieczności jak chłodu.

Wiem. Dawno temu doszczętnie wymarłem
A jednak trwam znów, i łokciem o góry
Jak tamci z mego plemienia się wsparłem
I patrzę, synów mych szukam, czy który
Obszył się liśćmi i porósł lasami,
A może stoi przy ogniu pastuchów
I pójdzie śladem, co został za nami,
I znów powtórzy przyrodę tych ruchów
Gdy zgrzane życie porami gęstymi
Dyszało w słońce i szło do księżyca,
Gdy we mnie ciekła krew mojej ziemi
A w matkach mleko i w sosnach żywica.

I rzekł mój ojciec: „Jeszcze go prowadź,
Bo ludzkie oczy z żalu w nim bledną”.
A matka: „Nie masz tu czego żałować,
Śmierć i życie, to jedno”.

I tak mi mówią, tak pocieszają,
Że nic nie przepadło, że nie zapomną
Jak cień mój w tamtym przesunął się kraju,

Ze gospodarke objąłem ogromną,
Sienne polany i woły węgierskie,
Zapach powideł, zimowia niebieskie,
Sosny masztowe i biedę w Karpatach,
Cały dobytek, który się splatał
Z ludzi i roślin i skóry zwierzęcej,
I nawet mówią mi jeszcze coś więcej,
Przypominają mi nagle że ptak
Przeleciał przeze mnie, ptak,
I drzwi zostawił otwarte
Na góry moje, na drzewa,
Na wszystkie sprawy
Żywe i martwe.

Czemu nie śpiewa?

Więc wyznam wam ostatnią troskę,
Śpiewajcie ją jak chłopską piosnkę
I kiedy świat się w zmierzchu ściemnia,
Zamknijcie okna, spuśćcie story,
Niech tam gromadzą się wieczory
I gdy powróci z pola ziemia,
Niech swoje ciężkie zzuje buty
I kurz otrzepie z nich przysuty,
Niech się położy, odpoczywa,
Szczęśliwa albo nieszczęśliwa,
I niech potoczy się jabłuszko
Pod siennik jej, pod łóżko.

WYCHYL SIĘ, SPOJRZYJ

Wychyl się, spojrzysz w dół:
Trochę mgieł, wyspy chmur,
Białej studni powietrza nic nie zaciemnia,
Pyłek co snuje się tam jak się snuł
Przed wiekami — kruchy, drgający punkt —
To ziemia.

Tam wszystko zostało:
Dworce, bilety na pociąg,
Cmentarne litery po zmarłych,
Awiatorzy spadający w korkociąg,
Emeryci uśpieni w karłach,
Rozaria pełne mszyc,
Ten kufer świata, który w lepkiem skwarze
Niosą na plecach portowi tragarze,
Trud przepadły.
Nic.

Wychyl się, spojrzysz w górę
Poza mgłę i ostatnią chmurę,
Co świeci się jeszcze jak maszt,
Obszaru tej pustki nic nie zaciemnia,
Pod nami drgająca ziemia,
Nad nami mapy gwiazd.

Tam w górze na nas nic także nie czeka,
To rozprysnięte, wygasłe atole,

Wiatr może do nich dobija z daleka,
Nazwy omiata z kurzu, symbole,
Z miejsca na miejsce bezradny się wlecze
Jak niedołążne myśli człowiecze
I rozrzedzony nicestwem zanika
Gdzieś w odległości miliona zer,
Dla poetyckiej chimery — muzyka
Sfer.

Boże osamotnionych!
Wychył się, spojrzij
Co nam zostało
Na wysokościach,
Rozpartym pychą,
Jakoby skrzydlatym,
Okrytym chwałą.

Wszechświaty?
Jakże to mało!

BALLADA O KĄCIKU ZA PIECEM

Na wiosnę między szybami donice,
W jesieni wódka z dereni,
Zimą podściółka z mchu,
Dach, kapiszon ochronny,
Ściany jak rękawice,
Próg — dozgonny,
Tak, to tu.

Tu chce się schronić, tu chce ocaleć,
Ten dom — myśli sobie — to Boży palec
Jeden jedyny widoczny w mgle.
Tu sobie znajdziesz kącik za piecem,
Rozłożysz manatki, zapalisz świecę,
Gazetę poczytasz,
Nie tak źle.

A w domu Inferno. Wieki i światy,
Jak szczury splątane, kłęb kosmaty,
Huczą po meblach. Ziemski glob
Spod otomany końskie włosie
Wydziera, wlecze po pokoju,
Po całym kosmosie,
Od podłogi po strop.

W rogu blaszana krzyczy muza:
Gramofon igłą po gardle Carusa
Skacze i kraje miodowy wosk.

Wzdłuż ścian, chybcikiem, z każdej strony
Smykają wąsate karakony
Czarne od trosk.

Baba Brueghela też do dzieła,
Podniosła kieckę, przykucnęła,
Śmieje się z frontu czarny ząb.
Nagle dyrygent na galerii
Dał znak i szwadron kawalerii
Wjechał na salon w blasku trąb.

Oficerowie jak na mustrze
I autochtoni płyną w lustrze,
Dzika opera, wielki bal.
Ulżyło babie, pierwsza sadzi,
Za nią szeleści rój owadzi
Jak powłóczyłszy szal.

A szczury wciąż huczą.
Kłęb się nie rozplecie,
Przez całą noc tarzał się będzie na grzbiecie
I gryzł i piszczął, w męce się trząsł.
I ta głowa w kołtunie, w kolczastych włosach,
W kurzu, w popiele po papierosach
Obtłukująca się wciąż!

Na wiosnę między szybami donice,
W jesieni wódka z dereni,
Zimą podściółka z mchu,
Żle ci tu?

Znajdź sobie teraz kącik za piecem,
Rozłóż manatki i zapal świecę,
Gazetę poczytaj. Czego ci brak?
Chciałeś mieć własny kąt, mój nomado,
Przystrój go sobie tą piękną balladą.
Dobrze ci tak.

POPZRZEBIERANI DLA NIEPOZNAKI

Siedzą na dachach, patrzą w dół,
Wyciągają chude szyje z podartych ornatów,
Dla niepoznaki
Poprzezbierani za ptaki
Przybysze z obcych światów.

Siedzą żarłoczni grabarze,
Gorliwi żałobnicy,
Mają cmentarne twarze
I zimno w żrenicy.

I męczy ich głód.
Zapadłe wola im pluszczą pod gardłem,
Myślą o czymś soczyście umarłym,
Marzą jak mokre, padlinne ścierwo
Dziobami roztrząsną, pazurami rozerwą,
I spod nerwowej, skaczącej grdyki
Bulgot im, chlusta chrapliwy i dziki,
Widzą już mięso robactwem spulchnnione,
W oczach już nowe rośnie im życie
I czekają tak zapatrzone
I siedzą tak pracowicie,
Dla niepoznaki
Poprzezbierani za ptaki.

I kiedyś nas tu zjedzą.

SENNIK EGIPSKI

Położcie nam rękę na oczy,
Niech się z nich ciemność wytoczy
I źrenice niech nam oczyści,
Popłyńcie nad skronią palcami,
Pięć delt dobroczynnych nad nami,
Mesmerydzi i hipnotyści.

Uśpijcie nas. Myśmy ludzie popielni,
Zamykamy się coraz to szczelniej,
Sowy milczące u głów naszych siedzą,
Nie budźcie nas w grobach za wcześnie,
Chcemy tę śmierć przeżyć we śnie
Za księżycową wiedzą.

Nowiu nam trzeba nad głuchą,
Pustynną naszą posuchą
By ziemię jałową odmienić,
By Nil po wyschłym, nierodnym kraju
W szerokim rozlał się urodzaju
Snów i pszenic.

Wszystko się spełni: sny nam się wyśnią,
W ustach mam księżyc jakby był wiśnią
I czuję smak jego blasku,
W ciszy nie słysząc skowytu szakali,
Jeszcze się tylko czasem užali
Wiatr na gąbczastym piasku.

A my, jak w puchach, w omdleniach niezmiennych,
A my, jak w skarbcach, w marzeniach bezcennych,
Już nie męczymy się plagą ciemności,
My tknięci magicznym dotykiem
Nie wiemy o niczym i nikim,
Wysychamy powoli do kości.

To nic że nigdy nas nie zbudzicie,
Nie pytajcie o śmierć ani życie,
Klepsydra się sama przekreśli,
Na świeżych łąkach pszenica zaszumi
I nawet jęk nie dobiedzie się z mumii,
Tak głęboko zamrzemy pośnięci.

PUSTA DROGA

Poleciała lśniąca droga,
Wiatr poleciał hulajnoga,
Ptaki pogasły. Ciemno.
Noc się śpieszy z daleka,
Nie skarży się, nie narzeka,
Umęczona powieka
Spada nade mną.

Jestem świat wyludniony,
Opustoszały jak domy
Kiedy w nich się nie świeci.
Szamocę się z okiennicami,
Nie ma co patrzeć za wami,
Nikogo za mną ani naprzeciw.

Jeszcze pociąg, złocisty grzebień,
W czarnych, nocnych się włosach zagrzebie
I przepadnie jak wypadł z ukrycia.
Nie wiem, ciemności, jak ci na imię,
Czuję tylko w gorzkim twym dymie,
Który po twarzy mi płynie,
Smak spalonego życia.

I zostaję sam z pustą drogą,
Sam u diabła, czy dzięki Bogu,
Przed pustynią, pytam się, czyją?
Okiennice zamknięte. W górze gwiazdy.
Błękitny kolczyk wisi u każdej.
Kamienieję na progu.
Psy wyją.

TOAST

Poetów wybiera się sobie za młodu
Ale co począć, gdy młodzi są tam,
Postawię to wino na środku stołu,
Zasiadę przy nim z troskami po społu,
Upiję się sam.

Niech sobie kogo innego wybiorą,
(Tam są ich tłummy) nie mnie.
Za wasze zdrowie, moi utraceni,
Ten haust czerwonej od ognia jesieni
I czarny osad na dnie.

PIĘĆ SIÓSTR

Było pięć sióstr,
Najpiękniejszych pod słońcem panien:
Usiadły nad morzem,
Liczyły rzeki na swych szyjach związane,
Wysokie góry u swych stóp zbudowane
Przykazaniem
Bożym.

Było pięć sióstr,
Najszczęśliwszych między siostrami:
Czekały na brata,
Ale brat się z wszystkimi pokłócił,
Rzeki podeptał i góry przewrócił,
I odtąd są częściami
Świata.



BRAMA GDANSKA (Przedmowa)

PRZENOSIMY GÓRY

Przenosimy na plecach góry,
Karkołomne, ciężkie toboły,
Budujemy opokę, na której
Podniosą się kościoły.

Szczyt przenosimy po szczycie,
Łomniste, urwiste perci,
Niesiemy je całe życie
Od urodzenia do śmierci.

I słuchamy, czekamy zuchwale,
Ostatni budowniczy i wierni,
Czy w głębi gór nam kowale
Odstukają z podziemnej hamerni.

WYDEPTANE ŚLADY

Wołaliśmy: gdzie, w której stronie,
Powiedzcie nam, ludzie, nareszcie,
Na prawo, na lewo, pod światło?

A oni: nie widzicie jak płonie?
Śpieszcie się, śpieszcie,
Na zachód od wiatru!

Pognaliśmy z miejsca galopem
W nakazanym, nieznanym kierunku,
Po tamtej drodze zbawienia,
W tamtą stronę ratunku.

Ale jakże gnać za wiatrami!
Wiatr się odwrócił, powiał inaczej
I zwiódł nas dwuznacznym szeptem.

Wracaliśmy tymi samymi śladami,
Po tej samej wydeptanej rozpacz
Co sto razy przedtem.

BRAMA GDAŃSKA (F r a g m e n t)

Na szczycie będzie kłos i żagiel rozwinięty
I tysiąc polskich lat wrytych po łacinie,
Pod łukiem wielki trakt, furgony i okręty
I boża wola wód, co bramą tą przepłynie.

Boża woda, boża wola
Tędy sobie wyroiła bieg,
Wolna woda i wesoła
Krakowiakiem, kujawiakiem
Obtańczyła brzeg
Lasy zbiegły się i pola,
Sandomierze i Torunie
Przystanęły, patrzą: sunie
I układa, żłobi mocny
Na równinnej ziemi dren,
Rozpędziła nurt potoczny,
Wyroiła Nil północny,
Pszenny Dunaj, winny Ren,
Dopływami się rozrosła
W łódź po kraju, w boczne wiosła,
Płynie, ciągnie krypą wielką
Aż do ujścia, aż do morza,
Rozwidlona gwiezdą deltą,
Wiśła, rzeka, woda boża.

Na szczycie będzie kłos i żagiel rozwinięty
I wolna wola wód pod bramą tą przepłynie,
Przywieźcie kamień z gór, żelazo i cementy,
Kesony bijcie w dno, ciężarne kładźcie skrzynie.

DO KOLEGI

Polskie okna niebezpieczne,
Długi wieczór, zapatrzenie,
Strzeż się, przyjacielu:
Smutki, liście i jesienie,
Dziesiąta woda po Chopinie,
Dziesiąta woda po kisielu.

Ja tak stałem, tak czekałem
Aż wypatrzę, aż wystoję.
I co komu z tego?
Zwiało mnie, poniosło z pyłem,
W polskim oknie się zgubiłem
Na niedoczekanie moje.

Strzeż się, kolego.

UWIKŁANY

Uwikłać — straszne słowo,
 Uwikłany — to ja:
 Uwikłany w przeszłość i przyszłość,
 We włosy dwu topielic,
 We wszystko czego nie mogę rozdzielić,
 Co na dno mnie pociąga
 I wydobywa z dna.

Uwikłany w to, czemu nie mogę dać rady,
 Uwikłany w to, o czym błędząc marzę,
 Uwikłany w miłość, bezsilę i gniew,
 Przewijam te straszne słowa,
 Myślę, że to bandaże,
 Ludzie — to krew.

NOCE ZIMOWE

Ciepło pod barchanową kołdrą śniegu,
Pod watowaną kapuzą dachu,
Nie dosięgną nas mrozy,
Nie zawieje zamieć,
Nie obudzi się pamięć
Zbrodni i grozy.

Przeliczymy szklany paciorek,
Niedziela, poniedziałek, wtorek,
I tak po tygodniu tydzień
Bezmyślnie przesunie się mdlawy,
W bawełnie pół-snu i pół-jawy,
Kłębek przywidzeń.

Siedem dni, siedem nocy minionych.
Siedem gór, siedem rzek zagubionych
I koniec wszystkich zabiegów.
A tu już skośny dach się ugina
I bielmem okno się ścina
I coraz więcej śniegu.

I kruszy się stare wapno z sufitu
I zaduch podchodzi pod gardło
I czyjaś młodość strącona ze szczytu
Spada turnią zamarłą,
A na dworze trzaskają mrozy,
Głupie, natrętne mrozy,
Chcą zbudzić pamięć, uwolnić z bawełny
Kłęb zmij okropny, ciężki i pełny
Zbrodni i grozy.

U Z A B A W A D Z I E C I N N A

Zbierajcie podkowy,
Łapki królicze,
Liście koniczyn,
Żeby się jeszcze ratować,
Jeszcze ocalić
I nie być niczym.

Wróćcie z rąk i herbaty,
Z wosku, ołowiu
W noc świętego Andrzeja,
Może są jeszcze
Okruszki sensu
I jakaś ostatnia nadzieja.

Bo już nas, stare
Komiczne dzieci,
Zewsząd zimna powaga osacza:
Pająki snują nici powrózne,
Sznury wisielcze,
I nocą słychać
Jak tyka zegar,
Jak huczy kołowrót
Wiecznego tkacza.

NIE ŚPIEWAJ Z MOSTU

Nie śpiewaj z mostu, z balustrady,
Pośliźniesz się nagle i co?
Przyptyw jest koło północy,
Ciemno, bezludnie, dno.

Nawet głupiej mewy nie spłoszysz,
Z całego śpiewu krzyk i chlust,
Nad ranem odpływ, muł, wśród mułu
Zaniemówiona trumna ust.

BALADA GLICYNIE

Glicynie to piękne krzewy
Ale patrzcie w co się rozrosły!
Sznurami okręciły mi dom,
Nogi, ręce, ramiona,
Leżą na mnie,
Duszą mnie,
Wężowiskiem ciężkim,
Drzewem Laokoona.
Zarastany żywcem w pogodne wieczory,
W dni pokojowe i bukoliczne,
Dławię się w sznurach,
W tym pięknie przekętym,
I chciałbym jeszcze krzyknąć
Nim wszystko przeminie,
Ale wargi mam z drzewa,
Z popękanej kory,
I usta zalane cementem,
Glicynie śliczne,
Glicynie!

3 6 5 R A Z Y

365 razy napisałem słowo „miłość”, „wszystko”
 [i „świat”,
 365 razy czekałem rano aż się obudzisz,
 365 razy męczyłem się do południa nad papierami,
 365 razy tłukłem głową o mur,
 365 razy martwiłem się że góra urodzi mysz,
 365 razy szedłem w południe na pocztę,
 365 razy myślałem o rzeczach dawnych i o przyszłości,
 365 razy patrzyłem przez okno widząc albo nie widząc,
 365 razy wlokłem się dokoła miasteczka wieczorem,
 365 razy słuchałem z mostu jak mewy krzyczą przed
 [snem,
 365 razy kładłem się do łóżka,
 365 razy wiedziałem że jutro znowu pójde na pocztę,
 365 razy wiedziałem że znowu góra urodzi mysz,
 365 razy odwracałem się na lewy bok do ściany.

Aż raz się nie odwrócę
 I tak już zostanę.

BALLADA O STOLE

Zona moja robi stół.
Ze starych poręczy będą nogi,
Ze starych drzwi dębowych blat,
I tak za kilka dni powstanie
Antyk sprzed stu lub dwustu lat.

Przy tym stole będziemy siadali,
Będziemy czytali o Gwatemali,
Przy tym stole będziemy płynęli
Do Nikaragui, Wenezueli,
Przy tym stole będziemy płynęli
Po cichutku, bez szmeru
Dobijemy na chwilę do Chile
I na chwilę do Peru,
Do spokoju, do cienia,
Do wysp 10-go pokolenia,
Coraz bardziej głusi i ślepi,
Im dalej, tym lepiej.

I zbudzimy się w innym kraju,
I jakiś pan w kapeluszu z Panamy
Zawoła do nas:

„Ach, jakże długo

Przy tym brzegu na państwa czekamy!
Żadni tu do nas od lat przybysze
Nie przybywają. Tu morze zapada
W bezwładny tężec. W sztywną ciszę.

Nie przepłynęła jej nawet „Zagłada”,
Słynny parowiec. Osiadła w mule
Polipów, ośmiornic, w ławicy planktonu.
Wodne pająki ją zjadły i tarantule,
Mątwy śliniaste, ciągnące do zgonu
Statków oceanicznych jak ryby na tarło.
Pewnie to się państwu o uszy obito,
3000 ludzi wtedy na niej zmarło.
Ale to dawne dzieje. Powitać! Jakże nam miło!
Może państwo pozwolą:
To moja willa, „Marco Polo”.

Wszystko nam będzie chciał pokazać,
Po całym domu oprowadzać,
Pracował (— mówi —) tu jak wół,
Będziemy za nim w krok chodzili,
Wszystko podziwiali, wszystkiemu się dziwili
Że to z bambusu, że Inkasi,
Że wyszywane, srebrem kute,
Że tu inaczej, że wasi i nasi,
Aż nagle:

 Drogi panie,
Skąd ten stół?

„To moja żona go zrobiła,
Nogi ze starych są poręczy
I z drzwi dębowych blat.
Niech państwo spojrzą,
Kto zaręczy
Że to nie antyk autentyczny
Sprzed stu lub dwustu lat!

„Ja przy tym stole z dziećmi siadam,
O moich stronach opowiadam,
Może bezładnie, niedorzecznie,
O Nowogrodzku, Mołodecznie
I o Zalesiu, gdzie za dworem
Śród wysokiego stała żyta
Muszla muzyczna wpół rozbita
I z pola mocno pachniał koper:
Pan Ogiński tam dawał wieczorem
Lat temu dwieście
Przedstawienia oper.

„Ale cóż, powiem szczerze państwu,
Moje dzieci nie rozumieją.
One tylko po hiszpańsku.

„Więc żeby jakoś łatwiej było
Opowiadam po prostu co mi się śniło,
Że szedłem brzezina, w brzezynie cmentarz,
Polski, litewski czy białoruski,
Gdzie chłopci na krzyżach wieszają chustki,
Bluzki, koszule, konopne powrośła —
A dzieci:

To zabobon, to gusła!”.

.....

Więc razem z tym panem siądziemy przy stole
I zrozumiemy że wszystko skończone
I wszystko umarło.

Że w oczodoły kłaść trzeba obole
I że nieżywi obsuną się w karło
I głowy ciężko na blacie położą,
Jak rozstrzelani na stół ten upadną
I będą płynęli z powrotem po morzu,
Na którym statek za statkiem szedł na dno.

Ludzie któregoś tam pokolenia,
Z Chile i z Peru, z Gwatemali,
Gnani przez morskie polipy i mątwy,
Ludzie jakiegoś przestępstwa i klątwy,
Będą płynęli, będą wracali
W skostniałą ciszę, w bezwładny tężec,
Na koniec świata,
Do swego domu,
Na księżyc.

Będzie to podróż nieruchoma,
Przybita do miejsca, podparta rękoma,
Zamarła od stu i dwustu lat,
Góry życia zwalone na stołach,
Szramy sumienia na śpiących czołach,
Pogruchotany rupieć,
Obrabowany świat.

NEKROLOG

Nekrologi są dla tych, którzy umarli w łóżkach,
A dla tych z komór gazowych,
Ze śniegów pod kołem polarnym,
Z rowów przydrożnych, gdzie kurz zasypywał im oczy,
Z piwnic, gdzie odpadało pół czaszki jak wieko z blachy,
Z urzędów śledczych, gdzie zagłuszano krzyk i wołania
Torturowanych,
Nawet jęk —

Dla tych, którzy zdychali w smrodzie więziennych
[kubłów,
Którym w upalnych wagonach przysychał język
[do podniebienia,
Którzy jechali w nieznanym kierunku,
Daleko za Frankfurt,
Daleko za Tułę —

Dla tych, którzy musieli kopać własny grób,
Którym ręce wiązano z tyłu i kazano klękać przed jamą,
Których wieźli barkami i zatapiali na środku morza
[Białego,
Po których nic nie zostało,
Nawet nazwisko,
Żadna wieść —

Dla nich nie pisze się nekrologów,
Dla nich jest tylko pamięć wdów

Albo żebracze modlitwy matek
Albo zdziwione spojrzenia dzieci
I z dnia na dzień rosnąca powoli błona
Nie dość śmiertelnej rany,
Z nocy na noc rosnąca powoli cisza
Przedawnionego nieszczęścia,
Która zagłusza krzyk i wołania
Niepocieszonych,
Nawet jęk.

Zbrodnio nieziarna,
Ziemio wierna:
Wieczne odpoczywanie,
Requiem aeternam.

WILKI

Wytrzyjcie mokre mordy wilkom,
Bo ścieka im krew na podbródek
I na frakowy gors,
Bo nie mogą zlizać jej z pyska,
Nosy ich umazane, rzęsy i brwi zamoczone,
I wciąż kropelkami
Kapie, kapie
Krew.

Nie mogą tak przecież pójść na bal,
Poplamia suknie francuskim hrabinom,
Zachlapią lakierki angielskim play-boy'om,
I nawet neutralni ideowcy,
Gołębiarze pokojowi,
Ofiarnicy dyplomatyczni
Pokażą takim gościom
Tył.

Jak z nimi tańczyć gdy staną na tylnych łapach
A przednie położą na odsłoniętych ramionach comtessy,
Gdy odbije im się padliną silniejszą niżeli szypr
I śmierdzieć zaczną trupami, które rozszarpywały,
I damom zbierze się na wymioty
A za dekolt ściekać im będzie
Kropla za kroplą
Z wilczego pyska
Krew.

Wilki zrobiły wszystko by się odmienić,
Poszły do fryzjera, noszą rozdział przez środek głowy,
Skończyły studia politechniczne cum laude,
Mają złote korony na zębach,
Order w klapie,
Fraczek jak ulał, w sam raz,
Tylko, na Boga,
Z pyska ścieka im krew.

Pomóżcie biednym wilkom,
Wytrzyjcie mokre ich mordy z krwi,
Bo nagle się wszystko raz jeszcze odmieni
I zaczną wyć przeraźliwie
Z ciemności nocnej, z mrozu,
Z lasów bezdennych
Na sali balowej.

NA PLACU BASTYLII

Siedzę w kawiarni na Placu Bastylli:
Stąd zaczął się pochód na szafot,
Ścięto 2561 głów
(Jak pisze Pierre Gaxotte de l'Académie française).

Siedzę w kawiarni na Placu Bastylli,
W epoce naszych pochodów,
I myślę ile głów wzięło w nich udział,
10 milionów, 20, 30?
(Żaden historyk tego nie obliczył).

Szli z siekierami rąbać lasy w śniegu po pas,
Płynęli barkami po rzece w jakimś kierunku Syberii,
Tubylcy pytali ich w tajemnicy o księdza,
Jak opisywał Herling-Grudziński,
Jak opisywała Rudzka,
Jak opisywał Czapski
I jak zapisano
W najnowszej Księdze Rodzaju Ludzkiego.

Oh, cher Monsieur le docteur Guillotin,
On n'a plus besoin de votre machine excellente,
My to robimy nowocześnie,
My to robimy dla mas,
(O dwa i pół tysiąca
Nie będzie się procesował żaden historyk).

Ł Y S E G Ł O W Y

Zeszli się,
Łysymi głowami stuknęli się,
Jedna czaszka przy drugiej, wszystkie lśniące,
Pół Europy inkrustowane łysymi czaszkami,
I czekają aż się ukaże,
I czekają aż wstąpi,
W juchtowych butach podbitych gwoździami
Wejdzie na parkiety czaszek,
Na posadzkę łysych głów,
Wyglancowaną, froterowaną —
I podnoszą brwi i marszczą czoła
I patrzą w górę i zawracają białkami,
Bo oto wzeszedł
I wstąpił
I kroczy po łysych łbach
I gwoździami kraje wiernopoddańczą skórę
I buciorami skrzypi natrętnie koło uszu
I uśmiecha się triumfujący spacerowicz,
A oni cieszą się zaszczytami,
Podstawiają czaszki wyprężone na bacność
I klepią się w ścisku po zachwyconych pośladkach.

.....

Na ziemi leżą narody,
Pół Europy piwnicznej,
Pod dwoma piętrami podeptania.

OD A

A drunkard is a dead man
And all dead men are drunk
(W. B. Yeats)

Diogenesowie z Bowery,
Smutni bracia siedzący pod ścianą,
Podciągnijcie pod siebie nogi,
To nie są protezy inwalidów po wojnie,
Ktoś może na was nastąpić.

Szklane spojrzenie, szklane oczy,
Nie starajcie się przejrzeć szklanej kuli przed wami,
To świat który się kręci jak dziecinny, podcięty bąk
I w uszach natrętnie huczy i boli
I w hałaśliwym pośpiechu dwunożnych mrówek
Nie pozwala wam usnąć
Głęboko.

Spalone usta, liliowe wargi,
W rynsztoku są jeszcze ogarki papierosów i cygar,
Dym was okurzy, odurzy kłębami,
Trzeba się tylko doczołgać
I ogarek uchwycić ręką
Jak zwinną mysz.

Dlaczego przystają, patrzą na was,
Sami się także wyciągną pod ziemią,
Przyniosą tu swoje poduszki i kołdry,

Na trotuarze rozłożą sypialnie
I czkawka będzie ich szarpać
I białkami będą zawracać
I powiedzą: więcej światła,
I tyle ich wyższości
Nad wami.

Jeden topi kocięta profesjonalnie,
Drugi szpera nocą w kubłach do śmieci,
I jest ich stu, dwustu i sto tysięcy
Wytartych łokci, schodzonych obcasów,
Albo eleganckich, przyjeżdżających z wizytą
Książąt Walii w tłumnej asyście,
A nikt nie jest inny.

Wszyscy pijani są umarli
I wszyscy umarli są pijani.
Diogenesowie z Bowery,
Smutni bracia siedzący pod ścianą,
Podciągnijcie pod siebie nogi,
Kończy się sjecha męczarni,
Nadchodzi policjant z pałeczką,
Ten blondyn z podgolonym wąsikiem,
Wiadomo, son of a bitch.

PIES

Stanisławowi Vincenzowi

Nie dla mnie
Ueber allen Gipfeln ist Ruh'
I gdzie mnie do „Księgi ubogich”!
Do końca zostanę tu,
W tych poszarpanych
Słowach złowrogich.

Nie dla mnie spokój i pojednanie
Za dużo ciemności,
Za dużo zła:
Ojcze poetów, Wielki Panie,
Nie chcę być twoim wikarym,
Weź mnie za swego psa.

Pozwól mi wyc pośród nocy
A kościom mym spopielającym
Daj głos, by po śmierci szczekały,
Aż do ostatniej rosy,
Aż do Sądnego Dnia.

A G D Y W Y M R A P S Y

Tak. A gdy wymrą psy na pustyni
Czaszki niech puste się szczerzą i żebra,
Piasek niech zerwie się, niech się przyczyni
Księżyc zdradziecki, trzydziesty, ze srebra,
I co świat jeszcze po sobie zostawi,
Wszystko niech świadczy i chełpi się zbrodnią:
Wznosiliśmy ją, morderczy i krwawi,
Jak wieżę Babel i padliśmy pod nią.

KARTKA NA DRZWIACH

Jak z wody pies
Otrząsam się z nieszczęścia,
Otwórzcie w głębi nocy drzwi,
Ja żądam przejścia.

Tam czeka na mnie świt i szum,
Braterski wiatr co mnie zabierze,
Długo wznosiłem go nad świat,
Niech teraz mnie podniosą wieże.

Jeszcze coś stamtąd chciałbym rzec,
Więc niech się zbiorą pokrzywdzeni
Na ten ostatni sąd i wiec
Kamienowanych i kamieni.

Nikt jeszcze tu nie sądził tak
Jak gniew co naszą ręką wstrząsa,
Gdy będzie trzeba dam wam znak,
Ja albo moja moc karząca.

I spadnie czarny w oczy piach
Na bestię ludzką w diasporze:
Przybiję kartkę tę na drzwiach,
Podpiszę się nożem.

DACH I ŚCIANY

Mam obsesję dachu
Aby deszcz nie padał do środka,
Mam obsesję ścian
Aby wiatr nie przewiewał na wylot,
Chcę się ukryć, schować się i pisać,
I nie mogę zejść z ulicy
I stoję na słocie, która w oczy zacina,
I przemoknięte książki ściskam pod pachą
I czuję jak wysuwa mi się jedna, najcieńsza,
I widzę jak upada ustami na błotnisty trotuar,
Jak wiatr szarpie jej otwarte stronice,
I nie mogę podnieść tej nieszczęśliwej,
I nie mogę podnieść tej nieporadnej,
I nie mogę podnieść tej najdroższej,
I stoję wśród deszczu i wiatru,
A mam obsesję dachu i ścian.

PRZYPOMNIAŁ MI SIĘ NIETZSCHE

Wieczór był oliwkowy, bez blasku,
Pochmurnym niebem leciało ptactwo
Gorzej niż w noc, w ołowiany świat,
Patrzyłem jak ptaki się chwieją na wicherze,
Przypomniał mi się po latach Nietzsche
„Die Kraehen ziehen schwirren Flugs zur Stadt”.

Do jakiego śpieszycie się miasta,
Do jakiego domu i gniazda,
W jaki sen, w jaką noc, w jaki świat?
Chciałem pokiwać do was ręką,
Ptaki, piszę to teraz po ciemku:
„Weh Dem, der keine Heimat hat”.

JEŻELI O TYM KTO NIE ZAPOMNI

Jeżeli o tym kto nie zapomni,
Jeśli do słów tych podejda potomni,
Niech odczytają pomiędzy nimi
To co zostało milczące.
Wtedy jak mgła od ubitej ziemi
Oderwie się prawda i słowo po słowie
Na wszystkie pytania każdemu odpowie,
I prawdy tej już nie zmacę.

Pusta wśród wierszy ujawni linia
Co mnie obciąża i co mnie obwinia,
I nie wiem czy mnie usprawiedliwi
Błądność w ułomnym człowieku,
Lecz pamiętajcie wtedy, wy żywi,
Żem w omyłności nie tylko tu moje
Powtarzał był walki i siał niepokoje,
Skazaniec, syn swego wieku.

I zapadaliśmy w długie lata
I snuliśmy się po przegrzaniu świata.
Niepomiń, niebaczni co tu się święci,
Aż mi przyniesie ten twardy samodział.
Abym na czas się przyzodział.
Stary klient.

Rozkładałam przed sobą płótno i kreśliłam
I pytałam się widnia naprzeciw na kreślenie.
Czy nie już poprzawie się nie da?
Bo tak czy owak przy tej robotce.
Przy podobnej przesłuchasz i teściowie
Aż i tak B A B

S A M O D Z I A Ł

Przynieśli mi twardy samodział,
Bym się na drogę zawczasu przyzodział,
Ale gdzie są krawieckie nożyce?
Czymże ja cię pokroję,
Przeznaczenie moje,
I jak się twej miary doliczę?

Nawlekałam włókno po włóknie,
Czasem, bywało, mnie majster ofuknie
A czasem pochwali, poklepie,
I tak przez długie pod oknem lata
Co kto zamówił szyłem dla świata,
Dobrze mi było, nie mogło być lepiej.

Nigdy nie myślałam o zgrzebnej koszuli,
Snulem się tak jak inni się snuli,
I co w tym złego, niech mi kto powie?
W sobotę wieczorem, według zwyczaju,
Z knajpy sypaliśmy się po kraju
Jak potoczyste przysłowie.

Śpiewaliśmy głośno, piękni i młodzi,
Ludzie mówili: „Wam wszystko uchodzi,
Tylko dokąd tak się śpieszycie?
Krawcy wybrani, weźcie złotą niteczkę,
Siadźcie pod oknem, popracujcie troszeczkę,
Uszyjcie nam nowe życie”.

I zapadaliśmy w długie lata
I snuliśmy się po brzegu świata,
Niepomni, niebaczni co tu się święci,
Aż mi przynieśli ten twardy samodziół,
Abym na czas się przyodziął,
Starzy klienci.

Rozkładałam przed sobą płótno i kreślę
I pytam się widma naprzeciw na krześle,
Czy nic już poprawić się nie da?
Bo tak czy owak przy tej robocie,
Przy podokiennej przesiedzę tęsknocie
Aż z rąk mi wypadnie kreda.

Bo tak czy owak nad tym łachmanem,
Nad życiem szorstkim i poszarpanym
Oczy wysłępną mi krótkowzroczne,
I chociaż nic tu, nic tu nie zmienię,
Nie moje tylko jest przeznaczenie,
Przed którym nie spocznę.

A BADANIA LEKARSKIE

Wysłuchali je, opukali je:
Dobrze się trzyma, zdrowo.
Zapomniałem spytać się tylko
Które z nich, serce czy słowo.

Prześwietlili je, uziemili je
Ściegiem na kardiogramie,
Choć przecież lata, wysoko lata
I prawdę mówi, nie kłamie.

Szpiegowali je, osaczali je
Na swym medycznym tropie,
Z wszystkich sekretów obnażali
Drżące na fluoroskopie.

I po co mi to? Czy który z nich wie
Kiedy mnie tu uśmiercą?
Jeśli mi słowo bić przestanie,
Co mi po sercu.

I zapadliśmy w długie lata
I snuliśmy się po brzegu świata.
Niepamięć, niebaczność co tu się święci,
Aż mi przyniósł ten twądy samotniał.
Abym na czas się przedział,
Słuszny kłopot.

Rozkładam przed sobą różną i kreślę
I pytam się widnia zaprawę na krześle.
Czy nie już poprawił się nie da?
Bo tak czy owak przy tej chwili
Prawie podobnie jak przedtem

PODUSZKA SZPITALNA

Daj mi pod głowę poduszkę
Inną — z ogrodów i łąk:
Trzeba mi jeszcze zachwyty.
Daj mi poduszkę uszytą
Co najmniej z obłoków:
Chciałbym usnąć wysoko
I z twoich rąk.

Trzeba mi jeszcze zdziwienia,
Jeszcze ptaków w zamszowej mgłę,
Ptasiego zadomowienia
W cynowo-srebrzystych przestrzeniach,
Wiszących nad nami strómo,
Kończących się nie wiadomo
Gdzie.

A tu jest tylko namiot tlenowy
I szklisty lakier sufitu i ścian
I jakiś spokój nade mną sztywnieje.
Puls liczą znowu, nic się nie dzieje,
I tylko lekarz poduszkę u głowy
Poprawia mi pewnie z ziół piołunowych,
Szorstką od klęsk i od ran.

MEDYCYNĄ

Andrzejowi Bobkowskiemu

Tu jest szpital i medycyna,
Cicho, spokój, lekarstwa;
A tam — słyszysz?
Mój demon, wiatr,
Liście zrywać zaczyna
I deszczem w okno parska.

Tu wiedza, powaga, dieta,
Kalorie w każdej obliczone pożywce
I śliczne pielęgniarki w czepkach na głowie,
A tam jest wszystko co ma się stać:
Łaska boska i skrzypce,
Jak się mówiło w Krakowie.

CIEMNY KORYTARZ

W maleńkiej szparze światelko
Na korytarzu długiej nocy,
Tam siedzą za ścianą i o nas
Z bogami się kłócą prorocy.

A nam wrastają nogi do ziemi,
Tłoczemy się w niskim, duszącym lochu
I tak przez ciemność brniemy do światła
Codziennie ślepnąc po trochu.

PUSTYNIA GOBI

Zawiało nas,
Zasypało nas,
Dwa dni nas odkopywali,
I po co tyle zachodu:
Śnieg sypie dalej.

Śnieg ciepły, cierpliwy, dobry,
Nic złego nam nie zrobi,
Przewiezie nas senną sanna
Stąd na pustynię Gobi.

Tam latem biegały dzikie wielbłądy,
Antylopy wesołym goniły się susem.
Teraz białą kontynent,
Nie kończące się lądy:
Drobne konie mongolskie
Drobiać krótkim swym kłusem.

Teraz szuby nas grzeją i futra baranie,
Ziemia umyka z boku sypliwa i śnieżna,
I tak do końca świata ta sanna, te sanie
I ta zaniesiona równina
Nieskończenie bezbrzeżna.

Jedziemy, jedziemy,
Śnieg sypie, sen płynie,
Pracowite śpieszą się kuce,
Tylko wiatr się umęczył,
Siadł na środku pustyni,
Przemoczone odwija onuce.

M A T K A

Uklękała, schyliła głowę,
Wyglądała jak cyfra: dwa.
A on odchodził głębiej i dalej,
A oni piasek szuflami sypali
W stromą sztolnię, bez dna.

Podniosła się, wstała
Prosta jak cyfra: jeden.
Zarzuciła na głowę chustkę,
Poszła przez głogi cmentarne w pustkę,
W listopad, w biedę
Kamienną od tego dnia.

Czasem tu jeszcze powraca,
Znowu złamana jak cyfra: dwa.
Ale nie zgina się już i nie klęka
I jak przydrożna, wędrowna męka
Żyje i cierpi. Trwa.

I nie ma na to już znaków i cyfr,
Bo wszystko nieprzeliczone
I niepojęte i niezbadane:
Piasek szuflami w ranę,
Głogi czerwone,
Ziemia bez dna.

NA JEDNĄ SEKUNDĘ

Codziennie chcę się ocalić
Z wiecznego ziemskiego nicestwa,
Lecz jakże to trudno, Boże.
Niechaj pod twoim drzewem,
W cieniu twojego zwycięstwa
Choćby na jedną sekundę
Jak zwiędły liść się położy.

Niech na jedną sekundę
Jak ptak postrzelony upadnę,
Jak wiatr wieczorny zagasnę,
Jak sen przeminę bezładny,
Jak słowo niejasne.

Niech na jedną sekundę
Spokojnymi spojrzę oczyma
W niebieskie ruchy obłoczne,
Na jedną sekundę
Niech się ta wieczność zatrzyma,
Na jedną sekundę
Niech od nicości odpocznę.

ROMANS

Uciekała przed nim roześmiana,
Błyskały wysokie kolana,
Gorąco buchało od ziemi,
Trawy ostro cięły po skórze,
Wiatr lipcowy ocknął się w górze
I ustami ją bił miłosnymi.

Ale nie chciała zgodzić się na to,
Uciekała tak całe lato
I kiedy wieczorem ją dopadł,
Było już późno, leciały wrony
W białym powietrzu, ogołocony
Po polach włókł się listopad.

Stanęli naprzeciw siebie oboje,
Märzły im wargi. „Ja się nie boję” —
To wszystko, to wszystko co rzekła,
I osunęła się powolutku,
Zapędzona w śmierć pełną smutku
Przez miłość, od której uciekła.

T U W I M

W naszej polszczyźnie, w koniczynie,
Gęsto i ciepło jest od miodu,
Środkiem szumiący Tuwim płynie
Ze swego źródła, słoworodu.

Mowa tam schodzi, z nurtu pije
I mokrą garścią w oczy chlusta,
Całuje drzące, nie wie czyje,
Źródliste łyzy, źródliste usta.

W świat wymówione, wyszeptane,
Korzenne, złe, rtęciowe, śliczne,
Ach, w jedno szczęście, w jedną ranę
Skupione usta ustawiczne.

I panny schodzą się i konie,
Upały, sny i gnuśne puszcze
I ziemia w tym potoku tonie
I potok w ziemi owej pluszcze.

A on ze środka własnej rzeki
Od źródła szumi do posłowania
I biegnie za nim brzeg daleki
I wiatr kołysze mu sitowia.

W I E R S Z O J A P O N I I

Pan nie lubi Japonii?
Jak to możliwe?
Wszyscy ludzie
Powinni mieszkać w Japonii.
Wszystkie kontynenty
Powinny leżeć koło niej.
Wszyscy ogrodnicy
Powinni rzeźbić w ziemi jak Japończycy.
Wszystkie kobiety
Powinny mieć cerę Japonek.
Wszystkie książki
Poematy z japońskiego papieru i czcionek.
Wszystkie Florencje
Powinny być podobne do Kioto.
Wszystkie teatry do teatru Noh,
Teatry-skrzypce, teatry-wulkany,
Nierzeczywiste, widziadlane,
Grające po to
By udowodnić
Że nieistniejące
Rzeczy
Są.

ETIUDA NA JESIEŃ

Toli Korian

Zaczerwieniło się, pojesienniało
I zadziwiło się i odleciało
I tylko jedna popielata
Jaskółka szuka jeszcze lata
I tylko jedna ciemna róża
Więdnie o cały świat za duża
I tylko jeden słoneczniczy
Zegar pamiątki jeszcze liczy
I tylko oczy, gęste oczy,
Wzrok za szybami, w zapatrzeniu,
Wiatr powłóczyyny drzewne troczy,
Na płocie gra jak na grzebieniu
I skrzypią z nim staruchy domy
I wrony lecą niską smugą
A wzrok wciąż milczy, nieruchomy,
Coś wypatruje i coś bada,
Stoi przy oknie długo, długo,
Od września aż do listopada.

Czemu on z liśćmi nie chce śniedzieć,
Za czym on błądzi, co chce wiedzieć?

Że zadumało się, pojesienniało,
Nikogo nie zadziwiło
I odleciało?

POŻYCZONE Z ELUARDA

Jours de miroirs brisés et d'aiguilles perdues,
Ile jeszcze tych zadeszczonych, ciemnych dni,
Jours de paupières closes à l'horizon des mers,
Nic, pustka. Morskie obszary, wodny szmer.

Mon esprit est nu comme l'amour,
Patrzę na nicość, kilka zgubionych na piasku piór.
Pourtant, j'ai vu les plus beaux yeux du monde,
Nie pytajcie mnie tylko gdzie, nie pytajcie skąd,
Bo uniesiony lecę, bo zadumany stoję,
Bo to są ptaki moje i skrzydła ich moje
I kaligrafia lotu i źródłosłowy śpiewu
I synkopy taneczne i wstrzymanie oddechu,
Cała składnia zachwytu, powietrznego istnienia,
Kiedy wiatry nadchodzą i pogoda się zmienia,
Cała wiedza nadziemna, radary, instynkty,
Oczy w szklanych kolorach, oczy Sfinksy.

Stopy mikroskopijne, ptasie papucie,
Kilka zgubionych na piasku piór,
Dni zadeszczone, ciemne uczucie,
Mon esprit est nu comme l'amour.

O MOICH WIERSZACH

Wiersze moje,
Szumy, summy, sumienia,
Nigdy mnie nie dogonicie:
Zanim wybiegłyście z milczenia
Wyprzedziło was,
Przesłoniło was
Moje drugie życie.

Wiersze moje,
Krzyże, miecze, żołnierze,
Nigdyśmy naszych bitw nie wygrali:
Ledwieśmy wyszli na obronne wieże,
A już pogasły przed nami ogniska,
Hieny wyły z pobojowiska,
A życie pognało dalej.

I chyba wciąż tak się będę powtarzał,
Sam siebie gonił, sam sobie się zdarzał
I żył w niepojętym złudzeniu,
Że słowa moje co innego znaczą
Niż nocna rozmowa miłości z rozpaczą
O szczęściu w gorzkim, bezradnym istnieniu.

POH3A388 A L E . . . HOIQNDQ

Ale już świta, ale świerki
W mgle po kolana białej stoją,
Ale sowizdrzał ptak zagwizdał
I radość rozpoczyna swoją.

Ale jest czysto, świeżo, pachnie
I więcej nic i słońce blisko
I dzień się rozpoczyna w oczach,
Zachwycające uroczysko.

R E C E

Nobody, not even the rain, has such small hands,
To nie ja pisałem, to Cummings. A więc:
Ręce drobniejsze niż deszcz,
Ręce majowe i czułe,
Ręce z baletu konwalii
I lotu jaskółek.

Ręce które podnoszą store,
Ręce które przynoszą listy,
Ręce od rana, ręce wieczorem
Zrozumiałe i oczywiste.

Ręce które podają wodę,
Ręce kieliszki wina,
Ręce które wiodę
I których się trzymam.

Ręce w kieszeni i przy mnie.
Ręce imię.

Ale najtkliwsze — te najdrobniejsze,
Które mi odkrył cudzy wiersz
I których nie ma nikt
Nawet deszcz.

NA TEMAT TAMARYSZKA

Co to się chwieje i kołysze,
Snuje za tobą przez powietrze,
Złoto-liliowy tamaryszek,
Woal na wietrze?

Omotał się, zaplątał senny,
Na rozpylonej drży łodydze
I mgłą zachodzi płynno-pienny,
Nic już nie widzę.

Może to światło tak się kruszy
I z nocy pada mrok piaskowy,
A on wciąż lata, śmieszny duszek,
Koło twej głowy.

Ze snu chce wybiec, bezszelestny,
Z mgły się wydzielić, z własnej błony,
Chciałby cię dotknąć, bezcielesny
A uwieczniony?

I nagle wiem co w tym astralu
Tłucze się troską nadaremną:
W twoim zaplątał się woalu,
Ach, razem ze mną.

W NIEWIDOCZNYCH DUSZKI

Przyjdą duszki potępione,
Zastukają w ciemne okno,
Będą straszyć biedną żonę:
Całą noc na deszczu mokną.

Litość ją od razu zbierze,
Drzwi otworzy nieubrana,
Chmarą wleczą nietoperze
Tłuc, kotłować się do rana.

I ja z nimi! Już nie spocznę.
Latam, tłukę się i krzyczę,
Gonię duszki niewidoczne,
Potępione, pokutnicze.

O MŁODYCH I ZAKOCHANYCH

Wyrwidąb, wysoki wiatr,
Przy młodej stanął czeremsze.
Młoda zadrżała. Zadrżał świat.
Zapachniał, szemrze.

Dalej mokry, rześisty las,
Kłęb dzikich róż i kostrzewa
I chorał liści. Każdemu z nas
Zielona panna w nich śpiewa.

Romans zatacza szeroki krąg
I nagle w spazmie śpiewnego hałasu
Ptasi w powietrzu wykluwa się ciąg
Warkoczem przestrzeni i czasu.

Kołują, lecą, świecą wśród drzew
Te moje ptaki wśród drzew ukochanych
I jednym zachłystem jest wszystko: śpiew
I kolor i płacz i poranek.

I usta w ziołach i znowu wiatr
I uszy dzwoniące od szumu
I piękny, ach jakże piękny świat,
Szczęśliwy, niespełna rozumu.

WYPADEK LOTNICZY W ARIZONIE

Gdzieśmy wylądowali?
W Arizonie,
O 2-ej w nocy,
Schwytani na lasso księżycy.
Za lotniskiem rzą kare konie,
Noc zielona się pali,
Nadjeżdża oblubienica.

Niech mnie tutaj zostawia,
Na tym betonowym klepisku,
W tej cowboyskiej pustyni,
Bo zbliża się ukochana:
Słyszę jej tętent,
Widzę jak płynie
W powietrzu ruda,
Galopuje rozwiana
Muza moja, cuda
Czyniąca Diana.

Tu pozostanę, tu się odmienię
Jak księżyc i jak Picasso,
I stąd galopem pogonię
Za czarownicą, oblubienicą
Aż mnie pochwycą
Z koniem
Na lasso.

Czy to możliwe, żeś ty, moja księżno,
Uzdę rzuciła aż tu niedosiężną
I że się naprawdę wydarzył
Nienotowany fakt by w pustyni
Czekała na kogoś bogini,
A ten ktoś, to był zwykły pasażer.

Na próżno pilot i stewardessy
Dają mi znaki, zapraszają do jazdy:
Mnie już urzekły, poniosły pogonie,
Chiricowskie, picassowskie konie,
I tak się toczy po Arizonie
Ten wypadek zatraćający
O gwiazdy.

SŁOWO DO ORFEISTÓW

Kto za mną staje, nie wiem, ale wiem że tam jest,
Co mówi, nie wiem, ale powtarzam to za nim,
Nie słyszę tych słów, ale napisać je umiem,
I to jest tak ważne że o nic więcej nie pytam.

Dawniej oglądałem się za siebie,
Dawniej chciałem spojrzeć mu w oczy,
Lecz znikał nim pochwyciłem rys jego kształtu,
Chodziłem wtedy stropiony a gdy się nie zjawiał,
Zsychałem się w proch, zamierałem
W ludzki, bezbarwny bezsens.

Rankiem siadałem przy biurku, trzymałem w ręku
[ołówek,
Wiedziałem co chcę napisać i czułem że nie potrafię,
Czekałem do nocy, bo wtedy łatwiej przyjść mu
[po ciemku,
Stanąc poza mną i szeptać niewidocznemu.

Ale nie, nie przychodził. Brałem zapomniany rękopis,
Czytałem głośno te słowa spoza ramienia, spoza mnie
I pytałem: skąd mi to przyszło?
I wołałem: to przecież od ciebie,
Odezwij się, nieprzenikniony,
Już się nie będę oglądał.

I rozumiałem istotny los Orfeusza,
 Że miłość jest ustawiczną groźbą utraty.
 Więc wołam was, orfeisci, jeśli kto mi zaufa,
 Powtarzajcie słowa podszeptywane,
 Nie patrzcie kto stoi za wami,
DOBRZE, CUDOWNIE ŻE JEST.

Na próżno pilot i strażnicy
 Dają mi znak, zapraszają do jazdy
 Mała już wrzaska, potężny pogoniec,
 Chir-cow-cow, piew-cow-cow, piew-cow-cow,
 I tak się toczy do Arizony
 Ten sam, ten sam, ten sam
SŁOWO DO ORFEISCI

Kto za mną stał, nie wiem, ale wiem że tam jest.
 Co mówi, nie wiem, ale powtarzam to za nim.
 Nie słyszę tych słów, ale napiszę je umiark.
 I to jest tak ważne że o nic więcej nie pytam.

Dawnie oglądałem się za siebie,
 Dawnie chciałem spojrzeć mu w oczy,
 Lecz najkochał nim pochwytywałem rękę jego kaskad.
 Chodziłem wtedy stopiony a gdy się nie zjawiał,
 Zychlałem się w proch, zamyślałem
 W ludzki, bezbarwny beznamiętny.

Ranek siedziałem przy biurku, trzymałem w ręku
 [ołówek]
 Wiedziałem co chce napisać i czułem że nie potrafię
 Czekając do nocy, bo wtedy łatwiej przyszedł mi
 [po ciemku]
 Stać poza mną i szeptać niewidocznie.

Ala nie, nie przychodził. Byłem zapominany i rekwiz.
 Czytałem słowo to słowo spora tamienia, spora imię
 I pytałem: skąd mi to przyszło?
 I wołałem: to przeczucie od ciebie.
 Odezwij się, nieprzenikniony.
 Już się nie będę oglądał.

STROFA

Ma cztery ściany i cztery strony.
Jest domem. Nazywa się: słowo.
Mieszkam w nim otoczony i zachwycony
Ziemią majową.

Ma cztery linie,
Jest kształtem.
Ma cztery pióra,
Jest skrzydłem.
Ma cztery krople,
Jest deszczem.
Ma cztery liście,
Jest drzewem.
Ma cztery tony,
Jest pieśnią
Nie wyśpiewaną
Do końca
Nigdy.

Ma cztery ściany i cztery strony,
Jest światem. Nazywa się: słowo,
I ja w tym wszystkim, ja uroczony
Ziemią majową.

I zrozumiałem istotny los Orlęty,
Ze miłość jest ustawiczną groźbą strasy.
Więc wolam was, orleńcy, jeśli kto mi zawa,
Powierzajcie słowa podszepiwań,
Nie patrzcie kto stoi za wami,
DOBRE, CUDOWNIE ZE JEST.

CO JA ROBIE ?

W marcu:

Podnoszę w śniegu przylaszczkom głowy,
Przyśpieszam wiosnę i pogodę
Żeby czym prędzej po kolana
Wybuchła trawa niesłychana,
Chcę rzeczy nowej
I młodej.

W czerwcu:

Zadaję się z ptakami,
Dlaczego — nie wiem.
To mnie uspokaja.
Chodzę po lasach,
Mówią że cietrzewie
Lubią mrówcze jaja.

W październiku:

Grabie liście w ogrodzie,
Wywożę je taczkami do jaru.
Znajdziesz mnie, Lauro, wieczorem
Pod umówionym jaworem,
W puszczy ciemnego baru.

W grudniu:

Odgarniam szuflą śnieg sprzed domu,
Bo do futryny okiennej zarasta

I lodem ścina się na niej,
Sypię popiół na trotuarze
Bo ślisko a marynarze
Wracają z miasta
Pijani.

Zawsze:

Stoję przy oknie,
Patrzę na barometr,
Patrzę na pogrzeb,
Patrzę na ludzi w tłumie,
Patrzę naprzeciw na zegarmistrza
Jak z lupą w oku werk oczyszcza,
Patrzę i staram się jak umiem,
Patrzę uważnie,
Patrzę długo
Na to wszystko,
I nie rozumiem.

PODRÓŻ DO PROWANCJI

Tyle wałęsałem się po świecie
A teraz jeszcze Prowancja!

Czyżby ta sama, co kiedyś
Gimnazjalnemu poecie,
Niby skrzydłem dalekiej muzy
Nad poduszką szumiącą od snów,
Wiatr nawiewała podróży
Aż nagle sztubacka stacja
Wysoko się pięła pod nów?

Do Prowancji z prowincji płynąłem.
Przez lata marzeniem okrętem,
To, co mi błysło nad czołem,
Gdy za księżycem się pięłem,
Pisałem w powietrzu
Mową niedorzeczną,
Atramentem
Aniołów.

I zapisałem wiele stronic i kart
Na niebie wiosennym, na chmurach,
Zachwycający, bolesny wiatr
Siadał przelotem na moich piórach.

Już dawno pytałem się: skąd,
Skądżeś, poezjo, dziwna damo,

Oczy urzekła panoramą,
Rozkołysała morze i ląd —
I do dziś tego nie wiem tak samo.

Ale okręt mój stary płynie i drży,
Znów szumi pełną marzeń kajutą.
Muzo wysoka! Powiedz, to ty
Anielską do siebie wołasz mnie nutą?

Oczy zamykam i słyszę moc
Jak ciągnie nurtem, bolesna i bystra.
Prowansalska owija mnie noc.
Rodanem wieje Mistral.

I czuję, czuję jak blisko lśnią
Namacalne księżycy — i cierpnę.
Konduktor woła: Avignon,
A ja: Erato! Euterpe!

SAINTES MARIES DE LA MER

Marii Danilewiczowej

Cisza na wydmach śpi głęboka
Cieniem oliwnym: senna biblio!
Marta prowadzi złego smoka
I Magdalena idzie z lilią.

Wyprawo boża! Nie przemijaj,
Nie cofaj się do niepamięci,
Ziemia bezładna i niczyja
Znów na was czeka, biedni święci.

Osypcie łąn jej ziarnem ślepym
I kamień spluczcie na kościele,
Nieprzemierzonym w polu stepem
Pod nogi wasze się podściele.

Jak deszcz, rosiste spadnie imię,
Ockniętym się poniesie krajem:
Błogosław, Saro i Trofemie,
Pustce tej wielkim urodzajem.

Suche byliny wiatr rozsunie
Pod krok wasz, siejbę, świętą sprawę.
Paruje moczar. Po lagunie
Biegna flamingi różowawe.

Bezdomne skopy, dzika trzoda
Słońcu ofiarną krew poleje.
Na morzu cicho: słona woda
Wygryza brzeg i kruszy dzieje.

Tyle mych modłów. Pod Kalwarią
Wydmy w biblijnej gasną ciszy.
Klerycy idą z seminarium
Ciemni, wysocy, jak cyprysy.

PATRONKA CYGANÓW ŚWIĘTA SARA

Modlmy się do niej, Cyganie wędrowni,
Do Czarnej Panny, skrypkowie podróżni,
Dymem opozów i świstem czatowni,
Skąd, po którejś nas każdy odrzuci.

Twój jej oliwny rysunek się smagło
W nocy, gdy przed oddech nas wonno
I tchu gdy brzdęknie. W noc taką nas nagło
Budzi i błyska diabelkami Madonna.

Jak lampę ku nam ikona pochylił
I uśmiech szczyt lilowu swą wagał;
W drogę naszany znów miła po milij,
W dol Karpat, Ukrainy, Kamery.

Skąd to idziemy tak ciągle i po co
W tłumie do ujęcia nieszanej podróżni?
Z tak powleczonej miłości i nocy
Święta widziśniska to wszystko wywróci.

Pierwaz na pomoc przed zgubą nadleci,
Zna szlaki wiatrów i ziemię pędzi.
Modlmy się do niej, Cyganie, poeci,
Gdy tchu nam brzdęknie i drogi się męci.

ŚWIĘTA SARA
PATRONKA CYGANÓW

Módlmy się do niej, Cyganie wędrowni,
Do Czarnej Panny, skrzypkowie podróży,
Dymem obozów i światłem czatowni,
Skórą, po której nas każdy odróżni.

Twarz jej oliwna rysuje się smagle
W nocy, gdy paproć odorza nas wonna
I tchu gdy braknie. W noc taką nas nagle
Budzi i błyska białkami Madonna.

Jak lampę ku nam ikonę pochyli
I uśmiech sący liliową swą wargą:
W drogę ruszamy znów miła po mili,
W dół Karpatami, Uhrami, Kamargą.

Skąd to idziemy tak ciągle i po co
W tłumie do ujścia nieznanej podróży!
Z rąk powleczonych miłością i nocą
Święta wróżbiarka to wszystko wywróży.

Pierwsza na pomoc przed zgubą nadleci,
Zna szlaki wiatrów i ziemię palącą.
Módlmy się do niej, Cyganie, poeci,
Gdy tchu nam braknie i drogi się mącą.

Pierwsza audycja

Gdzie mieszkam? W ciemnych walcach.
PARYŻ, WRZESIEŃ, 1959

Ze smugami ciemnych spanów
I niekoniec ponurych
Wojkowa maryle.

Najważniejsze jest nie o tym nie wie
I nie chce się nie Ekwilans
Ze region: siolki, chiny w krótko
I pierwsza godzina audycji.

Długo pod parostu markim godzin
Wiekuskiego znowu i dzień
Achilles jak po łbie napisa
Pierś zakrywa Venus.

I ślasy kate try i świata oł raki
Powolnie z krusznicznego drzenia i gasku
I przestrzeń, w którą odzież spłynie
I wolność, w którą pogodził konie
I bezmiar, w którym zniknął
Z markim nad zaskiem.
Słoty od blasku.

ŚWIĘTA SARA PATRONKA CYGANÓW

Módlmy się do niej, Cyganie wędrowni,
Dymem obarów i światłem czartowim,
Skórą po której nas każdy odróżni.

Tworzą jej obława rysuje się smęgle
W nocy, gdy pamiot odurza nas wonia
I tchu gdy braknie. W noc taką nas nagle
Budzi i błyska białkami Madonna.

Jak lampę ku nam ikonę pochyli
I uśmiech sęczy lilową swą wargę:
W drodze ruszamy znów miła po miła,
W dół Karpatami, Ukrainą, Kamienią.

Skąd to idziemy tak ciagle i po co
W tłumie do ciemnej nienamienionej podobny?
Z tak powieszonych namiętności i nora
Świeca wzdłużka to wszystkie wywodzi.

Pierwotna na pomoc przed zębami nalciei,
Zna ulaki wienów i niemę palęcy.
Módlmy się do niej, Cyganie, poeci,
Gdy tchu nam braknie i drogi się męży.

1.

P i e r w s z a a u d i e n c j a

Gdzie mieszkam? W czterech walizach.
Dokąd jadę? Na koniec języka.
Za mną pułk czerwonych spahisów
I na koniach ognistych
Wojskowa muzyka.

Najważniejsze że nikt o tym nie wie
I nie czepia się mej Ekscelencji.
Za rogiem stoliki, obrus w kratę
I pierwsza godzina audiencji.

Długa pod pasiastą markizą godzina
Wiekuiściego azotu i tlenu:
Achilles łuk po łuku napina,
Piersi zakrywa Venus.

I ściany katedry i światła od rzeki,
Powietrze z krystalicznego drżenia i piasku:
I przestrzeń, w którą odeszli spahisi,
I wolność, w którą pognały konie,
I bezmiar, w którym zniknąłem
Z markizą nad czołem,
Ślepy od blasku.

2.

Pogody, pogody

Suchobiodre studentki noszą
Oburącz na piersiach koźleta,
Pogody, przez cały miesiąc pogody,
Jakich nikt nie pamięta.

Pogody, morze Śródziemne nad głową,
Wyspy południowego wesela,
Paznokciem rysuję na chmurze
Zapomniany profil Amiela.

Ogrodnik zgrabia moje rysunki,
Rozrzuca arkusze po grzędach,
Czekałem na ciebie pod fontanną,
Z różą w zębach.

Ale nie przyszłaś. Przyszły studentki,
Siadły, rozłożyły na ławkach koźleta
I odsłoniły kolana, kolana,
Jakich nikt nie pamięta.

3.

Bourg-la-Reine

Domy się łuszczą, skóra odpada,
Z ulicy widać środek serca,
Nocą przychodzi, mury wyjada
Czas ludożerca.

Na kominach czerwone donice,
Na okiennicach zmrużone rzęsy,
Wszystko — egzema.
Tu gdzieś mieszkał Péguy,
Nie mogę znaleźć tego domu,
Pewnie już go nie ma.

Ale w zaułku, na murze,
Na żółtą dachówkę się wspina
Od dziesiątków lat niewidziana
W Ameryce
Czerwona jarzębina.

4.

Nie dojechał

On nie dojechał.
 Śpieszył się windą,
 Wysoko, na któreś piętro w hotelu,
 Uciekał przed zagładą:
 Pędem, po czerwonym dywanie do okna,
 I głową na dół.

Ostatnia sekunda cierpienia —
 Gdy jeszcze ręce się trzęsą,
 I potem duża, ciężka obcość
 I okrwawione ludzkie mięso.

Zaczepił się w drodze o balkon,
 Twarz się spląszczyła pęknięta.
 Zbiegli się, patrzeć nie mogli, pytali:
 Skąd? Z którego piętra?

I został w Brooklynie, w ścisku umarłych,
 Ze swoim Złym
 (Aniołem? Biesem?),
 I tylko pamięć, potworny testament,
 Błąka się pod bezsensownym
 Paryskim adresem.

5.

Półka Senlis

W jednym kościele jest garaż,
W drugim jakiś zatęchły skład.
Ojciec ofiarny, niedostatecznie

Zbawiłeś nasz świat.
Za mało wiernych na tyle łaski,
Za dużo głuchych na tyle wołania:
Auto na stacji drogi krzyżowej
I piwo w dzień Zmartwychwstania.

I brzuch wystający i grube paluchy
I tłuszcz na podgardlu i w zwojach karku
I tylko jedna mizerna pociecha:
Przedśmiertny strach niedowiarków.

Wystawa dalii

Nie pojedziemy na wystawę dalii,
 Nie pojedziemy do Sceaux.
 Zanadto szalwia w ogrodzie się pali
 I w stawie jesienne widać dno.

Zanadto cierpko pachnie z ogrodu
 W skurczonej gąbce każdy kwiat.
 Pojedziemy tam innym razem: za młodu,
 Gdy znowu będziemy mieli
 Połowę naszych lat.

I został w Bibliotece w świątyni
 Za ścianą Złoty
 (Aniela? Bismarck?).
 I tylko pamięć, potworny testament.
 Blask się pod baranymi
 Parafianymi.

7.

Policjanci gwizdzą

Policjanci gwizdzą w ogrodzie Luksemburskim:
Szósta.

Po drzewach ciągnie wiatrem górskim
Chłód, noc i puszcza.

Za sztachetami żelaznym kluczem
Zamykają pannę spóźnioną, jesień,
Kuśtyka starszy pan o kulach,
Pies mu gazetę w pysku niesie.

George Sand w alei bocznej
Prześpi się sama na monumencie.
Dwoje młodych wciąż się całuje,
Szósta, nie szósta — szczęście.

Przewodnik

Szukam w przewodniku,
 Czytam jak się nazywa,
 Piszą: Place de la Concorde i Pola Elizejskie.
 A to jest sztylet,
 Na który nadział się Łuk,
 A to jest klinga,
 Na którą się nadziała
 Moja Europa,
 Miłość świata,
 Duszy i ciała,
 Skrzydła u ramion.
 Skrzydła u nóg.
 Klinga srebrnej obrony,
 Sztylet naprzeciw katastrof:
 Merkury nad nim lata z nowiną
 Śród kłębowiska wiatrów.

9.

W n o c y

W piątek w nocy oświetlają w Luwrze
 (Jak od dwudziestu lat w moim marzeniu)
 Rzeźby greckie:
 Nad schodami
 Nike
 Stoi,
 Idzie,
 Szumi w kamieniu.

10.

W d z i e ń

W dzień świeci nad rzeką,
 Nad ścianą winogrodu
 Światło innej ręki:
 Wieże Notre Dame,
 Dwa palce złożone do przysięgi.

CZARNA WODA

Czarny las i czarna woda,
Czarne trawy nad wybrzeżem.
Kto im kroplę światła doda
Księżycowym kroplomierzem?

W zastoisku topielniczym
Liście sztywne, bez podmuchu,
Nie da się ich natchnąć niczym,
Wiatr upadł na ducha.

Nagle plusk. I nurt potoku.
Woda zwawa. Ruch. I ziemia.
Światło w żywym, czarnym oku:
Bobry, żeremia.

LEKCJA NATCHNIENIA

Nad wszelkim wzruszeniem i wiedzą,
Nad sensem istotnym i złudą
Jednego chcę was nauczyć,
Chcę was nauczyć cudu.

Chcę podnieść wam ręce do góry
I oczy zawiesić nad szczytem
I jednym was tchnieniem napęłnić,
Chcę was napęłnić zachwytem.

Sny wasze pomieszać z jawą
I jawę udziwić zjawami
I tak natchniony, ucudowiony
Wierzyć chcę z wami.

POCIECHA

Pociecho moja ty, książeczko
Wyspiański

Pociecho moja, książko,
Złożyła cię noc-poniewierka,
Bezsensowność ze snami zmieszana,
Ciemna mgła do białego rana,
Somnambuliczna zecerka.

Bezładne rozpadały się czcionki,
Poranione goniły się słowa,
To dziwne że krew z nich nie trysła;
Z nieuchwytności, z rozbicia, z rozłąki
Prawda złożyła się oczywista;
Drukarska, gotowa.

Książko, pociecho moja,
Co jeszcze powiedzieć ci o tym?
Wychodzę z ciemnej nostalgii,
Wychodzę z mgły mej udręki:
Sny się stały przedmiotem,
Mogę wziąć je do ręki.

TO WSZYSTKO TWOJE

Ziemia się we mnie ocknęła,
Powiedziała: weź mnie i nieś,
Wzięłem tobół białych obłoków.
I noc na plecy i wór ślepych mroków,
Poszedłem gdzieś.

Krokusy rąbkiem wystrzygły się z trawy,
Jaskółki pod dach wieczorem wracały,
Czasu na nic nie było. Snu
Nie mogłem powiązać do wтку,
Od końca szedłem tak do początku
I teraz jestem. Gdzie? Właśnie tu.

Rozkładałem jeden tobół i drugi,
Kalendarz, paszporty, narzędzia, dom
I lata niepolicone wyjmuję
Spod głowy snom.

Przyniosłem ziemię ogromną,
Wzdłuż ją obszedłem i wszecz,
Ach, ziemię-matkę, ziemię-niemowlę,
Na ziemi klęczę, za ziemię się modłę,
Za ciężkie obłoki i ślepe ręce —
Ziemio, nie czekaj więcej,
To wszystko twoje,
Mówię ci: bierz.

ZIEMSKIE SZCZĘŚCIE

Pola otwarte: matki i żony,
Łona miłosne!
Przeleciał po was wiatr zachwycony,
Wyszeptał wiosnę.

Ziemia podniosła usta do wiatru,
Westchnęła: miły.
I wszystkie w świecie pod wiatr, pod światło
Trawy się pochyliły.

Wyszliśmy wtedy, tubylcze plemię,
Wielką powitać zmianę,
I wir nas porwał i zmełł w gęstą ziemię,
W Szczęście Nieznane.

KANTATA O RZEKACH

Położeni w górach,
My, źródła rzek,
Spychamy je w doły, niech się zapienia:
Czekają na nie młynarze jesienią,
Barki z ładunkiem, ławice i mrowia
Rybnych połowów, czekają sitowia
Zarastające mulisty brzeg.

Spychamy je w dół,
Niech się nie lenią,
Rzeki robocze, pracowite,
Związane nurtem jak korzeniem
Z naszym pośpiesznym tu istnieniem
A niewstrzymanym jak ich bieg.

Rzeki,
Wyciągnijcie się wzdłuż,
Przy naszym boku i w naszych ramionach,
Kołyszemy was tu, w gęstych łonach,
Z ciemnoniebieskich niesiemy wzgórz
Po schodach ze złotych i czarnych kamieni
W zielone szczęście, w mięsiste doliny:
Nasza miłość składa się z ziemi,
Wytaczamy was z głuchej głębi
Drenami wód podglebnymi,
Byście wyszły na światło, na jaw,
Rzeki kulików i morskich jastrzębi,

Rzeki naszej rodziny,
Rybnych, ptasich
I ludzkich spraw.

Wyciągnijcie się wzdłuż
Przy naszym boku i w naszych ramionach,
Z nikim tak cicho jak z nami się nie śpi,
My jesteśmy górzyści i leśni,
Ojcowie wasi i kochankowie
I wasi rówieśni.

Rzeki rozrodcze, rzeki owocne,
Rzeki kobiety i rzeki ule,
Na brzegu chłopki piorą koszule,
Miasta jak pszczoły się roją,
Stolice u wodopoju,
Porty nocne.

Rzeki,
Popłyniecie szerzej i szybciej,
Oto pluszczą nam w sercach źródła
Bijące jak w skalnej krypcie,
I w świat się wypycha nasz płód
I łączy się nurtem, korzeniem
Z naszym wytrwałym istnieniem,
I koło zatacza szumiące
Powietrze, ziemia i słońce,
I duch się unosi znad wód.

Rzeki historie, rzeki religie,
Mokre, wiklinne pnącza,
Objęte wraz z nami
Upowszechnieniem człowieczym,
Płynące wraz z nami
Wspólnym dorzeczem
Do końca.

KANTATA O LASACH

Nie było nas, nie będzie nas,
A w lasach mnogi, przeogromny czas
Wciąż będzie szumiał w mrowistych listowiach,
Sprawy swoje rozważał,
Słowiczył, sępiął i sowiął
I brzuchaty od śmiechu się trząsł,
I zataczał się w prawo i lewo
Od wiatru, od śpiewu
Každy dąb
Každy grab,
Každy wiąz.

Czerwone sarny przyjdą raniutko nad wodę,
W południe jastrząb uderzy w pułap, zawisnie,
Polany, sienniki pachnące miętą i miodem,
I kwaśne usta, czereśnie dzikie i wiśnie,
I kora buków z pieszczotą kobiecej skóry,
I południce i czarownice,
I żar od dołu i z góry,
I paż królowej — cień,
Las cały w jeden się warkocz nad światem zaplecie,
Wszystko się puszcza miłosną rozpleni po świecie,
Miłością w drzewach, na trawie, na ziemi
Potoczy się wielki, gorący dzień.

Na drzewach, na trawie, na ziemi
Ustami stutysiecznymi.

Rękami w gałęziach wysokopiennych,
W ptakach zielonych, zwierzętach,
Na Sarnich świętach,
Na mchach miękkosiewnych,
W snach nieodziewnych —
Nagi, szczęśliwy dzień.

Wielki śpiew

Na ziemi, w trawie, wśród drzew
I szumy dumne, nadrozumne,
Dźwięki leśne, nadjęzyczne,
Sprawy liści niebotyczne,
Przeogromny, mnogi czas,
A w tym czasie — mrowiste listowia,
Wiatr się zatrząsł ze śmiechu i powiał,
Spadła bukiw i spadły żółędzie,
Złotym grochem o grunt zadzwoniło,
Jak wtedy gdy nas tu nie będzie,
Jak wtedy gdy nas tu nie było.

KANTATA O GÓRACH

W lasach śmiał się drzewny Pan,
W rzekach wodne Panny,
I toczyły się wielkie równinne obszary,
Pastwiska, jęczmienie, podbiały
Aż do podnóża gór,
I tam dopiero uderzył wysoki
Wargami w niebo, gardłem w obłoki
Kamienny chór.

Milczące odezwały się skały,
Otworzyły się źródła żelazne,
Z ust do ust sobie wiatr podawały
Góry śnieżyste, góry górnicze,
Sztolnie i groty i srebrne kuźnice,
Turnie odważne.

Ustawiło się pasmo zębate
Na chwałę najwyższą:
Na święto trwania nad światem
Góry śpiewają i błyszczą.

Niepotrzebne nam lasy, niepotrzebne nam rzeki,
Niech szumią dolinom do życia,
Dla nas jest szczyt i poza szczytem
Urwisko rozbicia.

Jesteśmy same dla siebie
I to jest jedyny nasz głos:
Gardło wyciągnięte jak żuraw na niebie,
Znaki nad ziemią podniebne,
Ptaki wróżebne,
Los.

Z nas wysypały się lasy,
Z nas wyciekały rzeki,
W kamień cofnęły się prawdy, prawa, praczasy,
I zakamieniał pośpiech byłego bytu:
Ptakom opadły błoniaste powieki,
Usnęły ryby, paprocie i ćmy,
I leżą wyschnięte potopy i wieki
Pod zimną płytą
Jak my.

Gdzieniegdzie kolec saksifragi,
Krokus, owies, głuchy wrzos,
I tylko wiatr na skale nagiej
I brew żłobista od uwagi
I to jest nasze trwanie,
Los.

.....
A w lasach dalej śmiał się Pan
I w rzekach wodne Panny
I toczyły się wielkie obszary
Szczęściem ogromnym i nie do wiary
I na pastwiskach goniły się konie
I pszczoły w sadach i drżały jabłonie,
Na łąkach tarzał się zapach nasienny,
I nikt nie pamiętał i nikt nie pamiętał
Że w górach trwa nieustanny
Prawodawca ziemskiej hosanny,
Że w górach czuwa kamienny
Los.

TKANKA ZIEMI

Jest tylko ziemia,
Ziemia przed nami i po nas
I ślepe wśród wiosen wyroki.
Sypie się twarde, wytrwałe ziarno,
Idzie po polu gospodarz wysoki
I zapisuje nas
W glebę czarną.

Humus otwiera wargi,
Wsysa nas, liże językiem rosy
Aż zwilgotniałe ziarno rozpęka,
I nagle którejś milczącej nocy
W jakiejs tkance miłosnej i płodnej
Rodzicielska zakrzyczy męka,
Wschodzi nasz pierworodny.

Wschodzą roślinne, zielone włosy,
Słomiane palce, ręce i kłosa,
Pyli się mączny wiew nad równiną,
Powszechne zboże powstaje
I gęstym wylewem płyną
Z nas urodzaje.

Od wiatru do wiatru idzie nowina.
Jadą trzech wielcy królowie,
Czerwiec, lipiec i sierpień
Z wieńcem pszczelnym na głowie,

I furman huka i strzela z bicia
A w środku pola gospodarz wysoki
Wszystko miarkuje i wszystko oblicza,
Zbierać będzie wyroki.

Śpieszcie się teraz pogody potrzebne,
Ziemia oddaje co wzięła,
Zwiastowanie się kończy podgłębne,
Świętobranie zaczyna się chlebne
Pierworodnego dzieła.

Śpieszcie się teraz ręce żylaste,
Czekają konie, wiatraki i młyny
I ziemia czeka spełnienia:
Na cały świat się rozrasta
Ze środka pyłnej równiny,
Z ust nieomyłnej nowiny
Tkanka naszego istnienia.



Czyl. Neukowa

Nr _____

Nr inw. C. N. _____

SPIS RZECZY

<i>Piąta pora roku</i>	7
<i>Wychyl się, spojrzuj</i>	11
<i>Ballada o kąciku za piecem</i>	13
<i>Poprzebierani dla niepoznaki</i>	15
<i>Sennik egipski</i>	16
<i>Pusta droga</i>	18
<i>Toast</i>	19
<i>Pięć sióstr</i>	20
<i>Przenosimy góry</i>	21
<i>Wydeptane ślady</i>	22
<i>Brama gdańska (Fragment)</i>	23
<i>Do kolegi</i>	24
<i>Uwikłany</i>	25
<i>Noce zimowe</i>	26
<i>Zabawa dziecinna</i>	27
<i>Nie śpiewaj z mostu</i>	28
<i>Glicynie</i>	29
<i>365 razy</i>	30
<i>Ballada o stole</i>	31
<i>Nekrolog</i>	34
<i>Wilki</i>	36
<i>Na placu Bastylji</i>	38
<i>Łyse głowy</i>	40
<i>Oda</i>	41
<i>Pies</i>	43
<i>A gdy wymrą psy</i>	44
<i>Kartka na drzwiach</i>	45
<i>Dach i ściany</i>	46
<i>Przypomniał mi się Nietzsche</i>	47
<i>Jeżeli o tym kto nie zapomni</i>	48
<i>Samodział</i>	49
<i>Badania lekarskie</i>	51
<i>Poduszka szpitalna</i>	52
<i>Medycyna</i>	53
<i>Ciemny korytarz</i>	54

<i>Pustynia Gobi</i>	55
<i>Matka</i>	56
<i>Na jedną sekundę</i>	57
<i>Romans</i>	58
<i>Tużim</i>	59
<i>Wiersz o Japonii</i>	60
<i>Etiuda na jesień</i>	61
<i>Pożyczone z Eluarda</i>	62
<i>O moich wierszach</i>	63
<i>Ale...</i>	64
<i>Ręce</i>	65
<i>Na temat tamaryszka</i>	66
<i>Nocne duszki</i>	67
<i>O młodych i zakochanych</i>	68
<i>Wypadek lotniczy w Arizonie</i>	69
<i>Słowo do orfeistów</i>	71
<i>Strofa</i>	73
<i>Co ja robię?</i>	74
<i>Podróż do Prowancji</i>	76
<i>Saintes Maries de la Mer</i>	78
<i>Święta Sara, patronka Cyganów</i>	80
<i>Paryż, wrzesień, 1959</i>	81
1. <i>Pierwsza audycja</i>	83
2. <i>Pogody, pogody</i>	84
3. <i>Bourg-la-Reine</i>	85
4. <i>Nie dojechał</i>	86
5. <i>Senlis</i>	87
6. <i>Wystawa dali</i>	88
7. <i>Policjanci gwiżdżą</i>	89
8. <i>Przewodnik</i>	90
9. <i>W nocy</i>	91
10. <i>W dzień</i>	91
<i>Czarna woda</i>	92
<i>Lekcja natchnienia</i>	93
<i>Pociecha</i>	94
<i>To wszystko twoje</i>	95
<i>Ziemskie szczęście</i>	96
<i>Kantata o rzekach</i>	97
<i>Kantata o lasach</i>	99
<i>Kantata o górach</i>	101
<i>Tkanka ziemi</i>	103

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 6 SEPTEMBRE 1960
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD,
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII°).

Dépôt légal : 3^e trim. 1960



b 25762412 dar
III Gypselina Nantow
30.11.2012
1505-

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001012997440